

Kapitanów już mamy!

czyli od bardzo długiego czasu
prapremiera polskiej sztuki współ-
czesnej w wielkopolskich teatrach*)

W czasie ostatniej woj-
wódzkiej narady tea-
tralnej Adam Ha-
nusziewicz bronił
hierownictwa teatru przed za-
rzutami „infantylizacji reper-
tuar”. Rzecznik teatrów mó-
wił tak mniej więcej: „Nie po-
winno się nas krytykować za
wystawianie nawet słabszych
dzieł współczesnych dramatur-
gów polskich. Gdy się bowiem
chce doczekać admirałów dra-
maturgii, trzeba zacząć od
bosmanów (tych z „Bajki”) i
wychowywać ich, by zdobyli
epolety wyższych rang, jakby
tego sobie wszyscy życzyli”.
Oczywiście przenośnia trafna,
lecz... nawet oponent — Leszek
Prorok nie podniósł w odpow-
iedzi, że przecież „Bosman z
Bajki” nie był prapremiera,
a swoją komedię z dodatkiem
„muzyczna” autorzy — DŁU-
GOSZ i MASZEWSKI oglą-
dali na ośmiu scenach. Nie o
to jednak chodzi. Faktem jest,
że w Poznaniu od czasów „Ban-
croftów” nie oglądaliśmy żad-
nej prapremiery.

Gnieźno odważniejsze. Wzię-
ło na warsztat nową komedię
wymienioną już spółki autor-
skiej pt. „Nieży interes”, u-
twór zajmujący się współczes-
nym tematem wiejskim, na
ogół nie najświetniej realizo-
wanym przez naszych drama-
turgów. Ryzyko tkwiło więc
w samym zamierzeniu. Komedia
zresztą nie otrzymała jeszcze
pełnego szlifów autorskiego.
Spółka ją na gorąco, w trak-
cie gnieźnieńskich konsultacji
przerabiała i... w ostatecznym
rachunku „bosmani” zasłużyli
na awans. Jeszcze nie admiral-
ski, lecz w każdym razie ofi-
cerski. Gwiazdki kapitanów
zdołali na pewno.

Przypomnijmy, że w „Bos-
manie z Bajki” wiele spraw
nie kłóli się z sobą; wątki
były sztuczne, pozbawione nie-
pokoju o ich rozwiązanie — lo-
sy „intrygi” od początku tra-
czyły schematyzmem. Postacie
szkicowano na czarno lub na
biało. Takich zarzutów ostat-
niej komedii Długosza i Ma-
szewskiego postawić nie można.
Interes z młocarnią jest nie-
głupia spekulacja kutej na
cztery nogi Wojdara. Lis-
chytus, obrosły w zboże i pie-
niażki, jest przez wyprawdanie
nie w pole, ośmieszony. Widzo-
wie szczerze się śmieją, biją
brawa przy otwartych kurtynie.
To już wiele. Podobnie z intry-
gami ubocznymi, nie wtłaczanymi
nadalnie do akcji; auto-
rzy prowadzą je mimochodem,
bezpłatnie, bezinteresownie. Żadnej pla-
skiej agitacji „wybrzędów ide-
ologicznych” (świetne określe-
nie tandeciarstwa artystycznego
stworzone przez Adama Po-
lewkę na łamach „Szpilek”) —
nie ma. Samo życie wiejskie,
jego codzienne konflikty, twó-
rzą budulec komedii. Realia nie
są brane z powietrza, nie są
malowane przez masowo pro-
dukowane schematyczne sza-
blony; są po prostu łatwo
sprawdzalnymi faktami.

Jeśli już rozważamy środki,
z jakich „Nieży interes” utwo-
rzono, trzeba zwrócić uwagę
na pewne fałszywe nuty brzmiące
w języku. Nie nawołuje
tu do „rejmontacji” dialo-
gów; sądzę jednak, że zastoso-
wanie pewnej odmienności
składni, większej ilości typow-
ych wyrazów stwarzało
pełniejszą prawdziwość kielec-
kiej wsi, gdzie rozgrywa się
akcja. Język chłopski bywa ru-
baszny, obfity w lapidarne
metafory, których u Długosza i
Maszewskiego jeszcze brak.
Gdyby np. takich powiedzonek

— „w swojej wsi nie ma cu-
dzych spraw” — było więcej,
satisfakcja oglądania „Nieży-
go interesu” byłaby o wiele
pełniejsza, a jej możliwości po-
znawcze daleko szersze.

Trzeba także zasygnalizować
pewną słabość I aktu. Jest to
przydługa ekspozycja poiga-
jąca nie na zawiązaniu intrygi,
a na nie najlepszej prezentacji
postaci; owszem, pod koniec
I aktu coś się dzieje: Wojdar
zaczyna swą spekulację z mło-
carnią, Weronka pcha się w
objęcia „czarnego Julka”, lecz
to można by z powodzeniem
załatwić w ciągu 10 minut. Po
co więc na ten cel pełna godzina?
Wydać się, że o ile „Dom
na Twardej” kończył się na
II akcie — „Nieży interes”
dopiero się w drugim akcie
zaczyna, co z drugiej strony
jest mimo wszystko lepsze.

Budzi poza tym wątpliwość
historia Weronki. Nie jeśli
chodzi o miłość. Romans mło-
dej żonki z dziarskim kapra-
lem-rezerwistą nie jest czymś
niemożliwym, niespotykanym.
Jednak na ogół kufacy nie po-
zwalają na absolutne nieró-
bstwo żony, choćby była o 25 lat
młodsza. Weronka żadnego po-
sagu nie wniosła. Nie się o
tym przecież nie mówi; bez
morgów — leniuchowanie tym
mniej prawdopodobne. Naraża-
łoby Wojdara na śmiech szan-
ujących pracę chłopów. Na
wsi bowiem, jak wiadomo, bia-
łe rączki nie są wcale tytułem
do chwały, a przeciwnie, do
pogardy i drwin. Warto więc
chyba, by autorzy, do następ-
nych wystawień, ten drobny
szczęgół przerobili. Postać We-
ronki może być przecież zbu-
dowana także przy zastosowa-
niu innych realiów. Może więc
ona być leniwą, udawać słabą
lub chorą, a spychać robotę na
służące i parobków. Efekt ten-
sam, a bardziej bliski prawdy.

Teatr gnieźnieński przez
dłuższy czas pracował z au-
torami przy próbach przedsta-
wienia. Stąd nie wiadomo,
gdzie kończy się udział auto-
rów w dopracowaniu spekta-
klu, a zaczyna praca reżyserki
ALINY JAKUBOWSKIEJ. W
każdym razie ostateczne rezul-
taty są dodatnie. Błędów było-
by niewiele. Raczej drobne
szczegóły: zbyt gustowny
plaszcz Weronki, jakiego nie
powstydziłyby się poznańskie
elegantki; niezbyt szczęśliwe
ustawienie Julka i Ceśki, nie
tylko w powierzchownych ele-
mentach strojów i charaktery-
zacji, o czym pomówimy... I tu
zarzuty by się kończyły. Dwa
akty stanowiące istotną część
komedii były przygotowane cie-
kawie, bez łatwin w montowa-
niu sytuacji; te ostatnie wy-
nikały z siebie bardzo płynnie,
bez dłużyzn. Kilka wstawek re-
żyserkich, jak np. kładzenie
sie Buczka na łóżko, stwarzało
nadprogramowe efekty humo-
rystyczne, z korzyścią dla ca-
łości.

(Ciąg dalszy na str. 3)



Genowefa Korska (Buczka) i Bohdan Rzeszowski
(Buczek) w scenie drugiego aktu „Nieżygo interesu”
Fot. Antoni Jeśmontowicz

Nieznany list Elizy Orzeszkowej PIĘKNY PRZYKŁAD BRATERTWA NARODÓW



Zbliża się wiosna...

Fot. E. Kitzman

Pamiętki po wiosennym święcie zmarłych i inne zwyczaje ludowe

„Pewnego razu urodził się
jednej babie syn. Tej samej
nocy zniósł kura czerwone
jajo. Rodziców to bardzo zdzi-
wiło i posłali po wróżkę. A ta
przepowiedziała im, że syn
ich, jak dorosnie, zostanie kró-
lem. Tak też się stało — i na
tę pamiętkę malują ludzie jaja
przeważnie na czerwono.”

I dziś nasze dziewczęta przy-
gotowują kolorowe jajka na
stoł święteczny, utrzymując je
den z najstarszych zwyczajów
zjaw. Bo pisanki swoją his-
torię sięgają czasów jeszcze
przed naszą erą i znane były
w Grecji i w Rzymie, najdłu-
żej jednak zachowały się w
Słowiańszczyźnie. To pozosta-
łość po zapomnianym już wio-
sennym święcie zmarłych. Pi-
sanki gliniane znajdujemy w
grobach u zarania naszych dzie-
jów, pisanki składano jeszcze
nie tak dawno na grobach
w niektórych stronach
Białorusi.

Jako — trzeba wiedzieć —
u Słowian miało olbrzymie zna-
czenie magiczne. Chroniło
przed „urokami” i „złym o-
kiem”. Potocznie je po grzebie-
nie bydłcia przed jego wyru-
szeniem na pastwisko, a stanie
się okragłe (tłuste) jak to jajo.
Zakop jajo malowane w ziemi,
a wygina szkodniki. Na
wet choremu pomoże, gdy nim
się go potrze. W południowej
Polsce jeszcze w pierwszych
latach tego wieku jajka malowa-
wane przed ich zjedzeniem ob-
noszono naokoło domu, aby
myszy nie robiły szkód. Sko-
rupki malowanych jajek, wy-
rzucone na sad lub ogród,
miały się przyczynić do lep-
szego owocowania.

Kler ze zwyczajem pisanki
walczył. Na początku XV wie-
ku biskup poznański Andrzej
Łaskarz zakazywał tego zwy-
czaju. Klerowi udało się tylko
wyrugować wiosenny zwyczaj

kultu zmarłych i stawianie im
— „niebożętom” jadła na gro-
bach. Wprowadził za to inne
zwyczaje, które — jak na przy-
kład urządzenie pewnego ro-
dzaju konkursu, śmiesznych



później, przemów w kościele
— nie utrzymały się długo.

Dyngus powstał także ze
ścisłego związku z kultem u-
marłych. Miał on znaczenie
„oczyszczające”. O ile pisanki
zachowały się w grobach i w
ten sposób mogły dużo opowie-
dzie o swoim znaczeniu, tak
dyngus stał się mało już mó-
wiącą szczytkową pozostało-
ścią starego obrzędu, kultowo-
waną później jedynie dla roz-
rywki. Za pogański obrzęd u-
ważał go wspomniany Andrzej
Łaskarz, zabronił on polewa-
nia i zanurzania kobiet w wo-
dzie. I dyngus okazał się sil-
niejszy od zakazów. Przetrwał
z tą tylko różnicą, że obecnie
młodzież zadawała się pola-
niem dziewczyny „koleńską
wodą”, gdy dawniej dziewczynę
zanurzano się w beczce lub
korycie, albo wylewało się na
nią po kilka wiader studzien-
nej wody. Za tę fatygę trzeba
było jeszcze chłopakowi pla-
cić — malowanymi jajkami.

Jak już jesteśmy przy zwy-
czajach wiosennych wspomni-
my jeszcze o topieniu Marzan-
ny — zachowanym nie tak da-
wno.

wno w południowej Wielkopo-
lsce. Niesiony przez chłopów
i dziewczęta pęczek zielony
miał zapowiadać odrodzenie
się przyrody, a chochoł słonia
ny utopiony później za wsią
— koniec zimy — śmierci. To-
pienie Marzanny odbywało się
przeważnie w niedzielę przed
wiosenną pełnią księżyca.

I jeszcze o trzech innych
zwyczajach wiosennych, z któ-
rych dwa już należą do zapo-
mnianych. To zwyczaj — po dy-
ngusie — obnoszenia przez chłop-
ców kogutka czyli „kokotka”
od chaty do chaty. Była to
prawdopodobnie pozostałość
po zwyczajach wprowadzo-
nych przez chrześcijaństwo.
Drugim zwyczajem, również
już nieznany, było oprowa-
dzanie „niedźwiedzia” (chło-
pak ubrany w grochowy). „Niedźwiedziowi” towarzyszy-
ła „baba”, często i skrzypek a
także dwóch pomocników do
zbierania datków. Pod wie-
czór, w dzień dyngusowy chłop-
cy urządzali sobie za te datki
zabawę.

I ostatni — to znoszenie ja-
jek kolorowych z cukru przez



zające dla naszych poclech. Ile
on przysparza oczekiwań, nie-
pokoju, pytań i radości! Skąd
on się wziął? Trudno dociec,
bo o cudownym zajączku, bar-
wnych słodkich jajkach i nie-
prawdopodobnych rodzicach ja-
koś głucho. To chyba... ich wy-
mysł.

JOZEF PIEPRZYK

Podróże kształcą narody

A lpinista jest to — jak wia-
domo — człowiek, który
drapie się tam, gdzie go nie
śwędzi. Kłam zadali tej defi-
nycji „alpinistów” amerykańscy,
którzy zapragnęli zwiedzić w
Indiach rejon Gharwal, poło-
żony w Himalajach. Minister-
stwo spraw zagranicznych In-
dii nie zgodziło się na tę wy-
cieczkę, a sekretarz parlamen-
tarny ministerstwa, Sadath Ali
Khan, wyjaśnił w parlamen-
cie, że upragniony przez „al-
pinistów” amerykańskich re-
jon Gharwal znajduje się w
strefie dla obcokrajowców nie-
dozwolonej...

Sądząc z tego „alpinistów”
amerykańscy chcieli drapać
się właśnie tam, gdzie coś ich

„śwędziło”. Prawdopodobnie
bliskość granicy... Tybetu. W
każdym razie nauka nie idzie
w las: hitlerowska piąta kolu-
mna składała się z „turyków”
— między innymi. Amerykań-
ska piąta kolumna operuje mię-
dzy innymi — „alpinistami”.

Podróże, owszem, kształcą.
Ale podróże takich „alpinis-
tów” wpływają zarazem na u-
świadomienie narodów, „za-
szczypanych” przez agentów
kapitału amerykańskiego. Dla-
tego właśnie — między inny-
mi — szerzy się w zachodniej
Europie hasło: „Ami go ho-
me!”. Po hindusku brzmi to
inaczej, ale znaczenie pozostaje
to samo...

Wies.

nam Rosjanom rzadką i rado-
sną sposobność uciec od wszel-
kich nieporozumień, wnieść
się choć na chwilę nad fatal-
nym splotem historycznych lo-
sów narodów” („Kraj” peters-
burski 1898 r.).

W innej relacji tego pisma
czytamy (znowu bez podania
nazwiska), iż jeden z mówców
oświadczył: „Nie będąc Rosja-
ninem z urodzenia jest dla nas
Mickiewicz mimo to bliższym
aniżeli dla innych przez swe
pochodzenie słowiańskie, a je-
szcze więcej przez to, że wśród
nas żył i pracował. Mickiewicz
opuścił Petersburg w 1829 r.
Gdyby się tu dziś znalazł, był-
by nie mniej serdecznie wita-
ny, a nawet więcej i goręcej,
jak wówczas, gdy opuścił nasz
kraj.”

Eliza Orzeszkowa z powodu
złego stanu zdrowia na uro-
czystość w Petersburgu przy-
być nie mogła. Przesłała na-
tomiasz list, który przeczytany
na jubileuszu wywołał entu-
zjazm. „Kraj” petersburski,
zapewne ze względu na cenu-
rę, dał tylko jego ogólnikowe
streszczenie. Dopiero obecnie
polskie pismo codzienne „Czer-
wony Sztandar”, wychodzące
w Wilnie ogłosiło pełny tekst
według odpisu znalezionej
przez R. Rotkiewicza w Pań-
stwowym Archiwum.

Orzeszkowa dziękując ser-
decznie za zaproszenie, a jesz-
cze bardziej za pomysł zgra-
nizowania obchodu mickiewi-
czowskiego z głębokim smu-
tkiem wspomina o „procesie
wiekowym”, toczącym się mię-
dzy obu narodami, przedsta-
wia symboliczne obrazy cie-
płej uciemiężonej przez ca-
rat narodu polskiego, z gory-
czą mówi o groźbie zawiesz-
onej nad życiem jednego z dwu
narodów, z jakiej „wyrasta
ściana, która ręką naszym i
waszym spotkać się nie po-
zwala. Nie ma na ziemi rzeczy
równie smutnej — pisze — jak
taka długa i taka niezmiennie
ważna kłótnia ludzi z ludźmi”.

Bojąc jednak nad losem
swojego narodu pisarka nie wi-
niła za to całego społeczeństwa
rosyjskiego, widziła dobrze róż-
nicę między polityką caratu, a
myśłami i uczuciami narodu.
„Nikt z nas nie wątpi — czy-
tamy dalej w liście — że w
społeczeństwie waszym istnie-
ją umysły światłe, sumienia
sprawiedliwe, wole pragnące
dobra. Akt uczczenia pamięci
Wieszcza polskiego wskazuje,
że do takich właśnie umysłów,
sumień i woli w tej chwili
przemawiam.”

Wiele miejsca w liście O-
rzeszkowej zajmują rozważa-
nia o roli i znaczeniu pisarzy
w życiu każdego narodu, każ-
dego społeczeństwa. „Cóż u-
czynić zdołacie? Wszak nie
jesteście prawodawcami swego
narodu” — woła, mówiąc o lo-
sach obu narodów. I sama sobie
odpowiada: „Tak, ale jesteście
jego nauczycielami, przywód-
cami pochodzącego ducha”.

A dalej tak mówi o miej-
scu pisarzy w społeczeństwie
w dziejach ludzkości:

„Mistrze słowa dzierżą w
ręku amforę prawdy i usiewa-
ją ziemię nasionami czynów.
Ich to palec pogłębiają na wo-
sk sumienia narodowego zgło-
ski, składające wielkie imiona
i hasła ludzkości; ich pochod-
nie rzucają smugi światła w
miejscie narodowego umysłu je-
szcze zaległe zmrokiem. Nie są
oni zbawicielami świata, ale są
tymi, którzy gotują drogi jego
zbawieniu. Gotujcie, Szanowni
Panowie, dla obu narodów na-
szych zbawienie od zła, które dla
nich obu, choć dla każdego od-
miennie, ujmę przynosi. Czyjmy
to wspólnie i na tych górnych
szlakach, które wiodą ku idea-
łom; niech ich z pomiędzy Was
i nas, którzy na nie wstąpić
zdołali, nawzajem uszanują się
i będą sobie pomocni. Aż przy-
jdzie moment, w którym ideał
z górnych szlaków zstąpi na
cierniste ciemne ścieżki tej zie-
mi i narody wyjdą z nich na
błękitne przestworza wzajem-
nego dla siebie poszanowania i
zgodnej współpracy. Gdybyście
ten moment o jedną tylko od-
robinę czasu przyspieszyć mo-
gli, nie żał byłoby żyć, chociaż
by życie upłynęło strugą same-
go bólu i znoju.”

Kończąc swój długi list O-
rzeszkowa prosi o wybaczenie
za swą śmiałość i szczerość.

(Ciąg dalszy na str. 3)

*) „Nieży interes” komedia w 3
aktach R. Długosza i E. Maszewskiego
go, prapremiera w Państwowym
Teatrze w Gnieźnie; reżyseria Alina
Jakubowska; scenografia — Roman
Fenik.

W marcu minęła piąta rocznica zgonu Henryka Manna, jednego z największych, a zarazem najdowodniejszych pisarzy w najnowszej literaturze niemieckiej.

Henryk Mann, walczący humanista, już w początkach naszego wieku spojrzął na niemieckie mieszczaństwo z sarkastyczną ironią. Od bezlitosnego wykładu berlińskiego środowiska gieldiarzy i spekulantów w wydanej w roku 1900 „Krainie pieczonych goląbków”, po schyłek epoki weimarskiej — ciągnie się długi szereg jego ciętych satyr. Któż nie zna „Profesora Unruga” lub „Poddanego”, tej książki, w której Mann, jak nikt inny, wyśmiał pod postacią fabrykanta Diedericha Hesslinga szowinistyczną megalomanię i dorobkiewiczostwo wilhelmskiej monarchistycznej burżuazji.

Utworów tego rodzaju, zwłaszcza mniejszych satyr noweliści, jest w dorobku Henryka Manna bardzo wiele. Z nich to wybieramy dziś fragment opowiadania pt. „Gretchen”, celowo nie tłumacząc na język polski charakterystycznego i symbolicznego imienia tytułowej bohaterki. „Gretchen”, napisana w roku 1907, satyra na drobniomieszczańskie światki niemieckie, „buergerów” — to jedno z wstępnych studiów do „Poddanego”. Znajdujemy w niej już pana Diedericha Hesslinga i kilka innych postaci, które później, w słynnej powieści, wystąpią znacząco ostrzej. Ale i to, co widzimy tutaj, ma swoją niedwuznaczną i przebiegłą wymowę.

Była już sobota, a pani Hessling wciąż jeszcze nie znalazła sposobności, żeby zawiadomić męża o zaręczynach. Gretchen, które miały się odbyć w niedzielę. Wreszcie przy obiedzie humor Diedericha się poprawił. Rzucił nawet poprzez stół na talerz córki kawałek węgorka, który podano tylko dla niego. Ale węgorki były już i tusty. Podczas poobiedniej drzemki Hessling jęczał, a po przebudzeniu zażądał masażu. Małżonka szepnęła cicho do Gretchen:

— Jak mu teraz powiedzieć o twoim nowym kapeluszu i pasku? Ale pieniądze i tak musimy wyciągnąć. — Po czym udzieliła córce paru pożytecznych wskazówek.

Tymczasem pan Hessling w wielkiej kuzali i kałesonach czekał ułożony między poduszkami na sofie. Ufnie powierzył małżonce wymasowanie swego białego brzucha. Ręce jej wykonywały natrępywania, a on z miną męczennika spoglądał ku trzem figurom, odlanym w brązie w dwóch trzecich naturalnej wielkości. Figury patrzyły ze stopni wykusa na Hesslinga i jego nędzny los. Byli to cesarz, cesarzowa i trębacz z Säckingen.

Podczas gdy pani Hessling zasłaniała męża obfitością swych kształtów i pocieszała go, Gretchen w białej sukni, na klęczkach, przesłała przez próg i wyciągając czujnie długą szyję, z trwogą i złościwością w wyblakłych oczach przycożgała się bezszelstnie do krzesła, na którym wisiły ojcowskie spodnie. Siegnęła do kieszeni. Lekko zadzwieżały monety, ale wtedy matka podniosła głos i zagłusząc szmer powiedziała:

— Zaraz będzie po wszystkim, a jutro wybierzemy się do Goscheleroda, żebyś wiedziała. Pan asesor Klotzsche pójdzie z



nami, no a ciebie, starszku, nie to nie będzie kosztowało. Pozostało mi tyle z gospodarstwa, że wystarczy.

Hessling wciąż jeszcze mrucał, ale masaż zrobił swoje. Wieczorem przy stole w piwni, takim się ułożył zapalem dla mocarstwowej potęgi Niemiec, że zapłacił, nie badając zawartości sakiewki. A w niedzielę, nowy strój Gretchen uszedł jego uwadze, jak zazwyczaj. Wyraził tylko stanowczo swoją wolę, żeby nie iść przez las.

— W ciągu dwóch godzin nie spotkasz tam żadnej gospody.

Asesor Sofus Klotzsche przyznał mu rację i towarzystwo poszło szosą: Gretchen i Klotzsche na przódzie. Asesor musiał wzrokiem niebo, przy czym głowa przechylona w tył utonąła niemal w kołnierzu.

— Wspaniały dzień! Wspaniały! Chociaż upał daje się we znaki.

— Papa zdjął marynarkę — powiedziała Gretchen i dodała, rzucając spojrzenie w bok: — A pan nie chce?

Ale Klotzsche odmówił. On, jako porucznik rezerwy, gorsze jeszcze trudy znosił. No i za-

czął opowiadać o manewrach. Prawił długo i rzeczowo. Widać już było pierwsze domy w Gäßelchen. Gretchen westchnęła. Ale pani Hessling czuwała nad wszystkim. Nagle wydała okrzyk: zwierzę! Jakis robak ukrył się pod jej bluzką!

— Okropne, pełzające stworzenie. Tutaj jest, o tu... Ależ nie możesz, przez kołnierz już nie dosięgniesz, tylko mnić dusisz w ten sposób. „Nie rob historii”, mówisz, dobry sobie. Ależ to przecie gryzie! My mamy inne nerwy, niż wy. Mój mąż nie ma dla nas najmniejszego zrozumienia, no nie, panie asesorze?

Klotzsche skwapliwie pospieszył z pomocą. Chciał nawet odpiąć zatrzaski. Ale pani Hessling wytknęła mu się.

— Jeden zatrzask, to za mało. Ono siedzi niżej. Nie ma innej rady: trzeba rozpiąć całą bluzkę. Pójdź no pan kawałek dalej z Gretchen, panie asesorze. Tu już tylko mój mąż może mi usłużyć.

I zerknęła na Diedericha z nieprzystojnym szelmstwem w oczach. Asesor zaczerwienił się. Gretchen spuściła głowę. Poszli.

Klotzsche nieśmiało bąknął coś o dokuczliwych stworzeniach. Poza tym jednak opowiedział się po stronie dzikiej natury i zachwycił się zwłaszcza sportem żeglarskim... Gretchen wdychała znowu. Przerwał więc i zapytał, czy i ona również kocha naturę. Tak? A co też woli: góry? czy małe jagniatka?

— Zieloną salate — odparła dziewczyna, zatopiona w marzeniach.

Sama przy tym pozieleciała na anemicznej twarzy i omdlewała nieomal, co jej się przytrafiało zawsze, ilekroć się bardzo nudziła. Przy cerowaniu pończoch na przykład lub w kościele.

— Zieloną salate?

Ależ tak! Bo Gretchen kupiła sobie z rana za otrzymane w niedzielę kieszonkowe pół funta pralinek i zjadła wszystkie, teraz więc marzyła o salacie z pieprzem i mustardą.

Klotzsche był zaskoczony jej odpowiedzią, ale nie czuł niezadowolonia. Spojrzał na nią i poprawił kołnierz. Gretchen zaś rzekła, opuszczając w dół powieki:

— Jak też ten zwir niszczy buty. W dzisiejszych czasach podszewy są jak z papieru.

Nie skarżyła się na ból, który sprawiał jej kamienie, ale na kieszonkową reperację! Wtedy Sofus Klotzsche zdecydował się:

— Gretchen!

— Sofusie!

Dopiero się ojciec zadziwił, kiedy para naręczonych stanęła przed nim. Pani Hessling uśmiechała się triumfująco. Bo żeby małżonek zrobił awanturę porucznikowi rezerwy, nie było obawy; zańdło dręczyło go przez całe życie nieczyste sumienie, że nie był nigdy nawet podoficerem.

Kiedy Klotzsche zjawił się na uroczystości zaręczyn, Gretchen słyszała, jak skarżył się swoim kolegom na marny los; a potem szeptał do siebie, pewnie coś nieprzyzwoitego. Gretchen mocno biło serce. Przy stole w każdym słowie doszukiwała się aluzji. Klotzsche milczał. Dopiero podczas mowy pastora Zillicha zabrał głos i oświadczył, że wierzy w zmartwychwstanie ciała: miał przy tym taki przepity głos i taki był nadęty, jak gdyby się pysznił ze strawienia dwudziestu porcji kielbasy z kiszoną kapustą. Wszyscy potakiwali z uznaniem. Gretchen zagryzła wargi i opuściła oczy.

Potem nie mogła się nadziwić, jak przyzwicie odbywał się dalszy bieg spraw. Co dzień, gdy zmrok zapadał, Klotzsche siadywał w jej pokoju, utrzymanym w secesyjnym stylu i powtarzał od czasu do czasu:

— Gretchen!

Na co ona odpowiadała zawsze, rozciągając sylaby pod wpływem uczucia:

— Sofuusik...

Ale przeważnie myślała jednocześnie o czymś innym. On pytał ją, czego nauczyła się w szkole. Wtedy Gretchen wywalała się z opisem paru psot, które wyrządziła swoim nauczycielkom. Poznała jednak po nieszczerym śmiechu asesora, że podobne targnięcie się na uświęcone autorytety napawa go obawą o nienaruszalność własnego autorytetu i dała spokój. Z kolei on zdał sprawę z przebiegu dnia w sądzie. Potem oboje milczeli, aż do następnego „Gretchen!” — „Sofuusik!”

Pewnego razu zaczął mówić o łasce bożej. Gretchen nie jest właściwie wcale pobożna, widzi to bardzo wyraźnie. W jej



wieku on też był takim obojętnym chrześcijaninem. Ale dzięki Bogu odnalazł właściwą drogę i to dzięki panu von Hafke, emerytowanemu generałowi. W dzisiejszych czasach wszyscy powinniśmy być pobożni: jeżeli się człowiek szanuje, nie podobna tego ani rusz unikać. Gretchen dozna kiedyś również łaski bożej, ale w jaki sposób to się stanie, tego nie można przewidzieć. Zresztą to nie ma znaczenia.

Kiedy staniami przed tronem Boga, usłyszymy słowa: „Tak jest, mój synu, w jaki sposób wkroczyłeś na drogę łaski, guzik mnie obchodzi!”

Asesor kazał Panu Bogu przemawiać głosem niezwykle ostrym, skandując słowa. Przy tym oczy jego nabrały wojowniczego blasku, a ręka szarpała w górę wasiki. Na korytarzu dyskretnie zakaszła pani Hessling i przywołała młodych do stołu. Gretchen westchnęła, myśląc sobie:

— Tego pokaszliwania mogła sobie oszczędzić...

Zastanowiła się. Klotzsche ma 33 lata i widać już worki pod jego oczyma. Musiał więc mieć jakieś przeżycia. Przypomniała też sobie, że w obecnych czasach żona powinna być przyjaciółką swego męża. Klotzsche nie ma prawa ukrywać niczego przed nią. „Czekaj no, kochanećku!” — pomyślała sobie. I zapytała go, kwiląc przymilnie, czy kochał też kogś przed nią. Klotzsche spłonał rumieńcem i zaprzeczył.

— Nie wierzę ci ani trochę — zapewniała stanowczo Gretchen.

— No, to nie...

Zmarszczył czoło, ale Gretchen nie dała zbić się z tropu.

— Słuchaj no, Sofusik, mnie nie zamalujesz oczu, kochanie. Jeżeli mam zostać twoją żoną, muszę wiedzieć co było, a czego nie było.

Ale nie nie pomogło. Klotzsche o niczym nie wiedział; za wszystko zawsze płacił od razu gotówką, załatwiał od ręki i nie miał niczego do opowiadania. Gretchen ściągnęła usta i dłonią potarła oczy.

— A może... a może ty masz nawet dziecko?

Klotzsche patrzył na jej lzy,

sapał, wykręcał sobie palce i zastanawiał się, jaką by tu wymyślić historyjkę, żeby coś wyznać. Ale nie mógł wprawdzie w ruch swego mózgu. Pani Hessling zakaszła znowu. Gretchen mruknęła:

— No, zaraz dostaniesz tę swoją kielbasę i piwo...

Wprawdzie sama potrafiła skosztować dziewięć obłożonych sznycel, ale gorszyła się bardzo obżarstwem asesora.

Wreszcie wszyscy zasiedli w staroniemieckiej bawialni przy lampie gazowej. Płomyk błyskał na figurze cesarza, cesarzowej i trębacza z Säckingen. Matka szyla, ojciec odczytywał z gazety wiadomości z życia dworu, naręczony i naręczona nie robili nic. Póki Klotzsche nie wyszedł, Gretchen nie wolno było robić robotki. Sama myśl o tym zakazie miała w sobie coś podniosłego, choć właściwie przy cerowaniu było trochę mniej nudno. Klotzsche siedział, trawił kolację i patrzył na nią. A Gretchen z niewinną miną porównywała, o ile jego brzuch musi jeszcze urosnąć, żeby osiągnąć objętość brzucha ojcowskiego. A czy pa-

raz może nareszcie wszystko omówić z mamą. Ale co to było właściwie? Wreszcie przypomniała sobie:

— Słuchaj no, mam, czy ja będę musiała potem naprawiać Klotzschemu skarpetki, które miał już na sobie? Papa zawsze daje mi swoje, a gdy mówię, że śmierzda, uważa to za brak serca z mojej strony...

Nazajutrz, w rozmowie z Elzą Baumann w teatrze, przypomniało jej się znacznie więcej. Oświadczyła, że jeżeli już musi poślubić Klotzsche, trzy razy dziennie będzie mdlała, taki jest nudny. Elza pouczyła ją jednak, że w towarzystwie pewnych dam na pewno jest bardziej ożywiony, a przy Gretchen chce sobie zażywać spokoju. Tak bywa zresztą zawsze. W półkoju łóż pochylały się ku sobie różowe, białe i niebieskie bluzki. Gimnazjaliści śledzili je tęsknie przez lornetki, ale dziewczęta zajęte były ważniejszymi sprawami.

Kiedy oni się wyżyli — uświadamiała Gretchen Elza — wtedy przychodzi do nas. Dla nas zostają zawsze resztki. Jak mają nam one starczyć? Doskonałe rozumie, dlaczego pani asesorka Bantzowa zwariowała. A pani doktorowa Harnischowa sama mówi, że z nią będzie tak samo. Pomyśl tylko, w ciągu sześciu miesięcy Harnisch tylko raz z nią — hm, no wiesz. Czy to nie jest straszne? Rodzice poradzili jej, żeby sobie po cichu wzięła kochanka.

— Straszne — potwierdziła Gretchen.

Była mocno wzburzona. Obie dziewczyny zwróciły ku sobie oczy, zjeżdżając nienawistą do mężczyzny. Ale w tej samej chwili zauważyły, że mecenas Buck je obserwuje i przybrały natychmiast, bez najmniejszego wysiłku, wyraz słodczy rozkwitającego kwiatu. Kurtyna poszła w górę.

Po zakończeniu aktu Gretchen ledwie zdążyła przełknąć na wpół rozpuszczone w ustach pralinki.

— W takim razie my też musimy obstać przy naszych prawach. W takim razie nam też wszystko wolno przed ślubem. Potem, ha, trudno, będziemy się ostatecznie nudzić jak mopsy...

Lepiej wcale nie wychodzić za mąż — rzekła Elza. Ale co do tego zdania dziewcząt były podzielone. Wyszły na korytarz. Spacerowała tam rzedami przeważnie młodzież, która chichotała, przekomarzała się i wstydziła siebie nawzajem. Gretchen była zamyślona.

Niedawno słyszałam, jak mama mówiła do papy, że pani Fritzsche jest kochanką Stolzeneka. Wierysz w to? — Czemu nie, jeżeli on już przedtem z panią Wendegast... — A ja myślę, że mama tak tylko powiedziała, bo Fritschowa dostała nowy kapelusz, a mama nie.

Przy bufici musiały się przeciskać i rozmawiać szepcem. Pily wodę z sokiem malinowym i chrupały bezy.

— A w teatrze — mówiła Elza — nie ma podobno żadnej, z którą by pan Stolzenek... no rozumiesz.

— Ordynarne nieponie! — zasyczała Gretchen, rozgoryczona i... zazdrosna.

W tej chwili Klotzsche ukazał się na zakręcie korytarza i Gretchen zwróciła się ku niemu roześmiana, niby kwiat ku słońcu.

Tłumaczyła
IRENA NAGANOWSKA



rys H. Derwich

Leży przed nami dwutomowa, licząca razem bez mała tysiąc stron druku, powieść znakomitego pisarza węgierskiego — Petera Veresa. Pozwala ona doskonale poznać nam życie jego ojczyzny w latach poprzedzających wybuch pierwszej wojny światowej i podczas tej wojny. Powieść nosi tytuł „Miłość ubogich” i zajmuje się życiem prostych ludzi, wyzyskiwanych, spychanych na samo dno nędzy przez ustrój kapitalistyczny.

Nie biegle szybkim krokiem życie tych ludzi, było ciężkie i beznadziejne. Początkowo jakby nas denerwowała ta powolność autora. W miarę jednak jak się czyta tę powieść, ogarnia nas coraz większe zainteresowanie. W rezultacie zawiązuje się między nami a głównymi bohaterami powieści serdeczna zażyłość, więcej — przyjaźń, tak że w końcu nawet po rozstaniu się z nimi jeszcze długo nie przestajemy wracać myślami do nich.

Peter Veres pisze o ludziach, których kocha. Dlatego taki szeroki horyzont otwiera się przed naszymi oczami podczas czytania powieści Veresa. Bezsprzecznie najbardziej pasjonujące w niej są dzieje dwójki młodych bohaterów książki — Jani Baloga i Julci Varga. Ich wzajemni psychiczne są pełne, każdy ich krok i każda myśl są konsekwentne i zgodne z ich charakterem, ich pocuciem uczciwości, godności i wierności samemu sobie. Same już dzieje zawiązują się między nimi dwójką, dzieje ich tęsknoty do siebie podczas czterech lat wojny, przebytej przez Janiego przeważnie w okopach frontowych, dzieje ich radości i szczęścia, mogą pasjonować i rzeczywiście pasjonują czytelnika.

Ale powieść Veresa, to bynajmniej nie tylko sama „miłość ubogich”. Gdy Veres opowiada o Janim, opowiada równocześnie i o jego rodzinie, a gdy zapoznaje czytelnika z jego matką, ojcem czy siostrami, nie zapomina zaprowadzić nas i do ich sąsiadów przyjaźni czy koleżanek. W ten sposób Veres maluje obraz klasy społecznej i obraz stosunków społecznych na Węgrzech w latach poprzedzających rozpad monarchii austro-węgierskiej.

Veres pokazuje równocześnie, jak rodziły się w społeczeństwie węgierskim tamtych lat nowe prądy społeczne, jak budziła się w nim świadomość klasowa i jak narastała w masach nienawiść do warstwy uciśnionej i wyzyskującej te masy. Veres umie też w swej powieści wskazać dlaczego w rezultacie, mimo nadziei ludu węgierskiego i mimo jego gotowości do poparcia rewolucji, której widoki wyraźnie rysowały się już w momencie rozpada się monarchii Habsburgów w ostatnich dniach pierwszej wojny światowej — lud wtedy nie doszedł na Węgrzech do władzy.

Obok więc doskonałego obrazu społeczeństwa węgierskiego tamtych czasów, obok licznych obrazów rodzajowych z ówczesnego środowiska obok wielu opisów tradycji i obyczajów ludu węgierskiego, obok pokazanych tak sugestywnie i z takim realizmem przez autora powieści kulisy wypadków dziejowych, które miliony ludzi przypięły swym życiem na licznych frontach tej wojny, obok pięknych postaci czolowych bohaterów powieści — Janiego i Julci, godnych naprawdę miłości i pamięci czytelnika — mamy tu jeszcze i naukę polityczną z tego wszystkiego.

Czy można więc wymagać od pisarza? Czy można więcej powiedzieć dobrego o pisarzu? Można: piękny język autora i dobry, staranny przekład tłumacza czyni tę książkę lekturą przyjemną.

JAN SZCZAWNIEJ

Peter Veres: „Miłość ubogich”. Powieść w dwóch tomach. Tłum. Ella Maria Sperlingowa. W-wa 1954. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Str. 543 i 298. Cena zł 35.-.

MIK

Problem garbowania

W ygarbowanie skóry jest procesem nader przewlekłym. W okresie od jego początkowego momentu aż do chwili wykończenia dzieła można zbudować dom, ożenić się i mieć pierwsze dziecko oraz napisać zbiór essay'ów z pogranicza estetyki porównawczej.

Dlatego ludzie nerwowi, pozbawieni wrodzonej pogody ducha i niecierpliwi pod żadnym warunkiem niechaj nie ważą się na ekstrawagancję garbowniczą. Troszcząc się o skórę baranią, narażają na szwank — własną.

Ob. Marii Piniarskiej z Poznania nie brakuje ani cier-

pliwości, ani silnych nerwów, dlatego też nie można się dziwić, że w lutym ubiegłego roku udała się z dwiema baraniami skórami na Chwaliszewo do Spółdzielni „Futro-Garba”. Jak się możemy domyśleć, klientka nie miała zamiaru sprezentować tych skór głównemu księgowemu, lecz pragnęła raczej skorzystać z normalnych usług spółdzielni. Zakłady „Futro-Garba” od tego czasu stały się jej jakoś bliższe. Poznała je dokładnie, rozszerzając swą wiedzę o pracy punktów usługowych w zakresie zaspokajania potrzeb klientów i kobiet. Było to możliwe jedynie dzięki paru wizytom w spółdzielni, które — jak już wspominaliśmy — dały naszej obywatelce bardzo wiele, z wyjątkiem wygarbowanych i ufarbowanych skór.

Nie bądzmy jednak niesprawiedliwi. Zaledwie po upływie roku, nie bez pomocy Działu Listów i Interwencji naszego pisma, klientka skóry otrzymała.

Zycie jednak byłoby mało ciekawe, gdyby wszystkie sprawy kończyły się pomyślnym rozwiązaniem. Skóry wprawdzie zostały wydane, ale radość z ich otrzymania zmącił drobny fakt, że jedna z nich zamieniła się w kozią skórę, druga — w niczym nie przypominała oddanego przed rokiem oryginału.

— Zamieńcie mi tę kozią na baranią! — poprosiła klientka.

— Nie możemy — odpowiedziano — albowiem nie dysponujemy własnymi skórami. To, co mamy, to materiał powierzony.

Klientka pomyślała sobie: — Nie mają własnych, a jednak dali mi zamiast mojej, jakąś inną. Jeżeli prawowity jej właściciel zgłosi się po odbiór, dadzą mu materiał trzeciego klienta, a temu jeszcze inny. W ten sposób zawsze jakoś załata się dziura. Ale czy na długo? Proceder to denerwujący i uciążliwy.

Być może, że kiedyś spółdzielnia wpadnie na genialny pomysł, który pozbawi ją tych kłopotów: zacznie oddawać klientom ich własne skóry (oczywiście nie w dosłownym znaczeniu). To takie proste i uzasadnione. I tego chyba możemy od spółdzielni „Futro-Garba” wymagać.

W przeciwnym razie garbowanie skóry należało zastosować w zgoła innym sensie...

WITOLD DEGLER

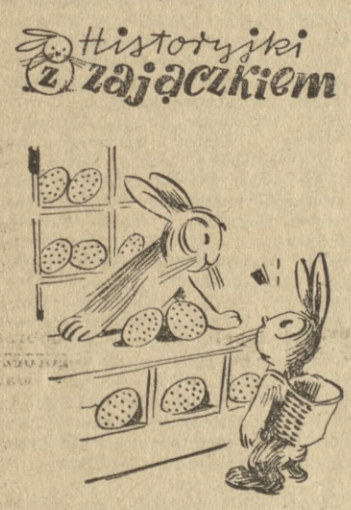
Praszkę

Od jajka ...

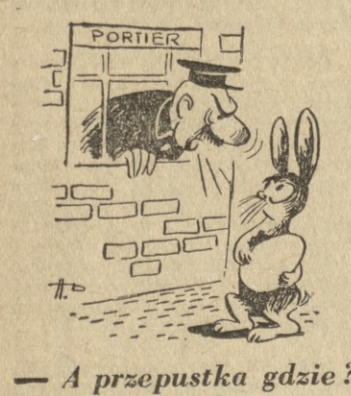
Z tą uctą świąteczną — jak z przydługą mową: jest rzeczą konieczną zacząć ją „ab ovo”...

Baby

Baby kosztują? Czas więc nadszedł, aby wziąć rewanż w święta i... kosztować baby!



— **Niestety — mamy tylko ten model ...**



— **A przepustka gdzie?**

POZNAN w STANIE Surowym

Targi za pasem, A tu tymczasem Sterczą do góry Surowe mury!

Na Ratajczaka Domy surowe, Tło okrągłaka Wciąż niegotowe!

Brak jeszcze tynku Przy Starym Rynku, I na Lampego, I Kosińskiego...

To nie; lecz gorzej! Szczyt ambarasu: Bo wkrótce może Zabraknąć c za su...

KAZIMIERZ DONIMIRSKI

Czy dla skończenia Tych elewacji Braknie natchnienia? Dokumentacji?

Może wytycznych? Metod praktycznych? Asortymentu Różnych cementów?

Może brak planu? Harmonogramu? Wniosków oddolnych? Murarzy zdolnych?



Rys.: H. DERWICH

POMYŚL I ZGADNIJ!

Przyjrzyjcie się uważnie pisankom, które zaprojektował nasz rysownik. Odbiegają one w pewnej mierze od wzorów dotychczas spotykanych. Każde jajeczko poświęcone jest... właśnie: komu? Spróbujcie odgadnąć. Dla ułatwienia podajemy, że pisanki dedykowane są ludziom dobrze nam, niestety, znanym w życiu codziennym, a mianowicie: dygnitarzowi, biurokracie, lakiernikowi, gadule, brakorobowi, kułakowi, pijakowi, ponurakowi, chuliganowi i asekurantowi.

Na załączonym obok kuponie wystarczy w odpowiedniej miej-

sce wpisać numer znajdujący się pod każdą pisanką. Kupon wycinamy, naklejamy na kartkę pocztową i wysyłamy do redakcji „Głosu” (Poznań, Grunwaldzka 19. „Nowy Świat” — konkurs świąteczny) najpóźniej w środę, 13 kwietnia br. Decyduje data stempla pocztowego.

Dla tych, którzy odgadną dla kogo przeznaczono poszczególne pisanki, redakcja przysła im dziesięć wartościowych książek. Nagrody przyznane będą drogą losowania.

Prosimy nie zapomnieć o podaniu dokładnego i czytelnego adresu!

DIYGNITARZ	KULAK
BIUROKRATA	ASEKURANT
LAKIERNIK	PONURAK
GADUŁA	CHULIGAN
BRAKORÓB	PIJAK

Imię i nazwisko: _____

Adres: _____

Rozwiązanie konkursu w najbliższych numerach Nowego Świata.

POCZTA NOWEGO ŚWIATA

Wł. Konopa, Poznań. — Jeszcze nie do druku.

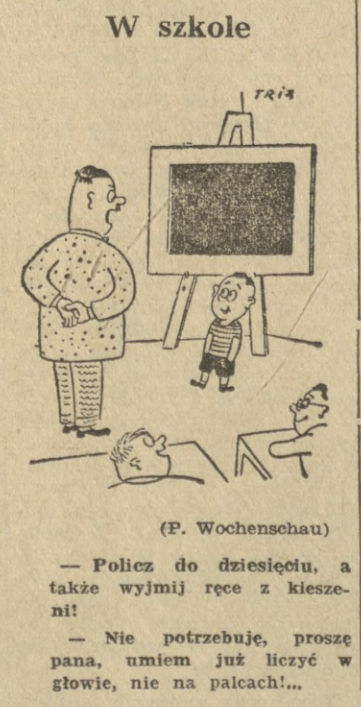
A. Trz., Poznań. — W jednej i drugiej sprawie prosimy pofatygować się z materiałem do naszej redakcji.

Bruno Brożniak, Wrocław. — Często fraszek wykorzystamy w okresie późniejszym. Prosimy o podanie adresu.

Tadeusz Popiół, Poznań. — Obawiamy się, że pan nie zupełnie zrozumiał sens świetnego filmu Tatiego. Zarzuca Pan m. in., że bohater filmu Hulot nie przemienił się psychicznie podczas wakacji na lepsze. My zaś cieszymy się, że tak się nie stało, gdyż po pierwsze człowiek nie przemienia się tak od razu przez dwa tygodnie wakacji (niech Pan nie wierzy filmowi „Wczasy z Aniołem”), a powtóre nie o to chodziło. Przecież film jest dziełem sztuki i nie znosi wulgarnego dydaktyki. Podyskutujemy zresztą w artykule, który wkrótce wydrukujemy.



— W naszym GS-ie patelni kupić nie można, a jajka jakoś przecież muszę usmażyć...



— Policz do dziesięciu, a także wyjmij ręce z kieszeni!

— Nie potrzebuję, proszę pana, umiem już liczyć w głowie, nie na palcach!...

Po witce do KIEBKA

Biedni ci lekarze ...

W okólniku wydanym przez Ministerstwo Zdrowia czytamy:

„Lekarz odcinkowy i pielęgniarka, pracująca na jego odcinku winni pozostawać z sobą w ścisłym kontakcie. Sprawy te reguluje kierownik rejonowej przychodni przy współudziale przełożonej pielęgniarki...”

Uff, jakie szczęście, że większość odcinków w naszym kraju nie musi stosować się do okólników Ministerstwa Zdrowia.

(nadesłała: W. Ch.)

Mają za dużo pary

Ci kolejarze, którzy w dniu 31 marca br. o godz. 20.45 przetaczali wagony na stacji w Ostrzeszowie, należą zapewne do ludzi bardzo gwałtownych. Przetaczanie odbywało się bowiem w błyskawicznym tempie, a lokomotywa jęczała, a posztuchiwane wagony stękały boleśnie.

Dziwny na ten widok pary z ust nie puścił. Wyreczy go z pewnością lokomotywa, która przy takiej gospodarce już wkrótce parę puszczać będzie wszystkimi szparami.

Kłopoty (językowe) z jajkami

„Z okazji Świąt warto poruszyć sprawę jajek — pisze nam

ob. K. St. z Kalisza. — Ten zdrowy produkt kurzej zapobiegliwości sprzedawany jest w naszych sklepach jako jajka „świeże”, „wapienne” i „chłodnicze”. Wydaje mi się, że te dwie ostatnie nazwy są — jak większość neologizmów handlowych — błędne językowo. „Wapienne” bowiem oznacza tyle, co „utworzony z wapienia”, a do tego Centrala Jajczarska jeszcze nie doszła. Proponuję nazwę „jajka wapnowane” — to już lepsze. A może nasi językoznawcy zainteresują się tymi nieszczęsnymi jajkami?”

My też wolimy jajka „wapnowane” od „wapiennych”, choć najchętniej kupujemy świeże. A językoznawców zdaje się nie warto fatygować. Zajęci są obecnie analizą neologizmów z końca wieku XVI. Być może, że nasze prawniki doczekają się jakiegoś współudziału lingwistów również w tworzeniu nowych wyrazów, być może... Cierpliwości.

Sztuka abstrakcyjna

Czy wiecie co to jest sztuka abstrakcyjna?

W każdej niemal klatce schodowej wisi tablica informacyjna ze spisem lokatorów. Wisi najczęściej tak wysoko, że człowiek poniżej 2 metrów wzrostu, nie z niej nie odczyta.

Tablice wiszą — ale ludzie nie z tego nie rozumieją. Sztuka abstrakcyjna.

Niektóre GOM-y wyremontowały siewniki bardzo niedbale.

— Siewnik nawalił — ale musimy sobie jakoś poradzić ...

